Cena 50 groszy. Poczta opłacona zgóry.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POSWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. dyr. A. Rondthalera, ks. prefekta Gloeha — z Warszawy, ks. G. Manitiusa z Poznania oraz członków Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: p. p. mec. H. Eberhardta mec. A. Burschego, prof. gim. im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta. Pod naczelną, redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, ks. radcy A. Lotha.

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową: 3 złote kwartalnie. Pojedyńczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI o o o o o o o o o WARSZAWA, ulica Kredytowa Nr. 4. Prócz administracji prenumeratę przyjmuje: w Warszawie księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10. w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 165, i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Marjańska 27.

Wychodzi raz na tydzień o o o w niedzielę o o o Ogłoszenia: Kolumna wiersz 4 szpalty ogłoszeń. wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy, w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w pocztowej kasie oszczędności Nr. 1508.

Rok VI. Warszawa, dnia 27 grudnia 1925 r. Nr. 51—52.

Miłym i Szanownym Czytelnikom „Głosu Ew" życzy „Błogosławionych Świąt".

REDAKCJA

Jezus Zbawiciel.

Zwiastuję wam radość wielką, która będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan.

Łuk. 2,10.11.

Roziskrzą się gwiazdy na wigilijnem niebie. Przypomną nam cichą, świętą noc, gdy się narodził Jezus Zbawiciel. Dziatwa już niecierpliwie wyczekuje chwili, kiedy to zapłoną w Wieczór Wigilijny światła na choinkach. Blask słonecznie rozradowanych ocząt dziecięcych obudzi w starszych jasne, promienne wspomnienia z lat przeżytych Świąt Bożego Narodzenia, z chwil „sielskiej, anielskiej" młodości. Czy wszędzie jednak z serc ludzkich pierzchnie mrok smutku wobec tego światła radości, którą Bóg przez Jezusa dał światu?

W czasie przedświątecznym bezrobocia, niepewnego jutra, nieraz można było się spotkać ze skargą: brak nam zupełnie nastroju świątecznego. Troski, kłopoty ciężkiem brzemieniem przygniatają nasze serca, każą nam smutnem okiem wodzić po ziemi i z lękiem spoglądają w przyszłość.

Otóż do wszystkich zwraca się to anielskie zwiastowanie: iż „narodził wam się Zbawiciel".

Na biedną, smutną naszą ziemię, na ten padół łez i płaczu, zeszedł Jezus, aby dźwignąć w niebo ludzki ród, pojednać go z Bogiem.

Przyszedł, aby leczyć wszystkie rany, aby ukoić najgłębszą tęsknicę serca. Już jako dwunastoletnie pacholę w wielkiem rozradowaniu duszy mówił o tej wielkiej miłości Boga, który sercem swem ogarnia wszystkich ludzi.

Jako Mąż szedł z wsi do wsi, z miasta do miasta, aby słowem i czynem w skamieniałych sercach budzić miłość do Boga i do ludzi, bo na tej ziemi przedewszystkiem powinien człowiek dbać o jedną rzecz — o ludzkie serce bratnie. Znał Jezus życie i twarde jego pieśni. Żal mu było ludzi, uginających się pod ciężarem życia. Wyciągał im rękę, ratował, wspierał, pomagał.

Jako dobry pasterz skupiał wokoło siebie te rozproszone i zbłąkane owce, ludzi, którzy w wirach życia zatracili jego cel, sens i wartość.

Nawoływał, aby się od Niego uczyli pokory, ciszy, poddawania świętej woli Bożej — swej woli, a znajdą spokój dla dusz.

Porywał dusze na orlich skrzydłach ufnej, dziecięcej wiary wzwyż do Boga. Niosły mu wierne, wdzięczne serca życie swe w ofierze.

Rozumiał Jezus wszystkich i wszystko. Przenikał serca ludzkie nawskroś. Poznał bezdenną toń przewrotności i zła. Nie odpychał jednak nikogo. Niemiłosiernie nie sądził, nie potępiał. Wszystkich chciał przygarniać do siebie. Świętą dobrocią serca swego podbijał zbrukane serca, budził w nich skruchę, żal, gorące łzy opamiętania, sprowadzał marnotrawnych synów z manowców życia do domu Ojca, do źródeł najcichszej, najgłębszej i najczystszej radości.

Ostre słowa wzgardy miał tylko dla tych, którzy w zaślepieniu i głupiej zarozumiałości za nic Go sobie mieli, zwalczali Go. Zrywał z nich bezlitośnie maskę obłudy i próżności.

Blisko 2000 lat dzieli nas od chwili Jego narodzin.

Z uczuciem nabożeństwa, skupieni, stańmy wobec tego wielkiego, tajemniczego wydarzenia w losach całej ludzkości. Jezus jest największym darem Boga dla świata, niech się On stanie dla każdego z nas największym darem podczas tych świąt.

Im kto poważniej ujmuje życie, a w ciężkiej walce życiowej poznał kruche swoje siły, tem usilniej niech szuka u Jezusa pomocy, ratunku, pociechy, wyzwolenia.

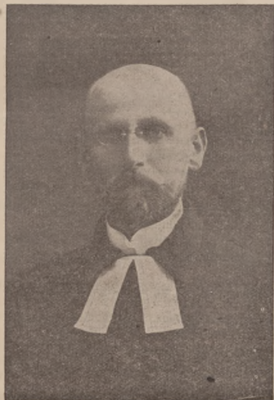
Bez Jezusa ludzkość żyć nie może. Ustałaby walka ze złem. Zamarłaby miłość, nadzieja, wiara. Nie stałoby pociechy dla smutnych, zawiedzionych, zrozpaczonych. Bez Jezusa wyschnęłyby źródła prawdziwej radości.

Adolf Suess.

Jubileusz Ks. Leopolda Schmidta.

25 lat cichej, zbożnej pracy.

Dnia 16 grudnia r. b. w gronie rodzinnem i w kółku swych przyjaciół-kolegów obchodził ks. Leopold Schmidt w Konstantynowie swój 25-letni jubileusz powołania duchownego. Ten długi okres czasu spłynął Jubilatowi na cichej, zmudnej, nieraz nad wyraz ciężkiej i niewdzięcznej pracy, zaprawianej niejednem rozgoryczeniem i zawodem, niejednym ciosem bolesnym i zmartwieniem. Mimo to — zawsze cichy, łagodny, z pogodą na twarzy, z wiarą w sercu, spokojem w sumieniu — ks. Leopold Schmidt szedł wytrwale naprzód, niosąc wielkie brzemię



Ks. Leopold Schmidt.

obowiązków powołania swego, które Pan nań włożył. A chociaż często stawał się ofiarą nieuczciwych napaści i złowrogich agitacyj — nie załamał się, nawet się nie ugiął, nie zboczył z raz obranej prostej drogi swego życia, i zdążał i zdąża do tego celu, jaki mu wyznaczony został. Tacy bojownicy pracy nie liczą nigdy na głośne poklaski i szumne komplementy, gdyż najwyższą nagrodą dla nich jest świadomość spełnionego dobrego czynu.

Do takich pracowników należy czcigodny Jubilat — ks. Leopold August Schmidt.

To też w dniu jubileuszu Jego ci, którzy się wokoło niego zgromadzili — szczere uznanie, serdeczną przyjaźń oraz gorące życzenia czuli w tak uroczystej chwili dla swego dobrego i prawego Przyjaciela-Jubilata.

Niech i nam będzie wolno na tem miejscu do tej wiązanki życzeń — dołączyć i swe z serca płynące „Szczęść Boże"!

•

Ks. Leopold August Schmidt urodził się w Gostyninie, ziemi warszawskiej dnia 10 czerwca 1872 roku. Otrzymawszy staranne domowe wychowanie, uczęszczał do gimnazjum od 1881 do 1892 roku w Płocku, a następnie w Łodzi, potem udał się na studja teologiczne do Dorpatu. Uniwersytet ukończył w 1900 r. i w tymże roku 16 grudnia został wyświęcony w Pabjanicach na duchownego i objął zaraz przy tamtejszym kościele urząd wikarjusza. Na tym stanowisku pozostał pięć lat, zyskując uznanie i miłość parafjan. W 1905 roku został wybrany na pastora w Konstantynowie i na tym urzędzie trwa po dzień dzisiejszy. Jednocześnie, z tem objął on obowiązki nauczyciela reilgji w szkołach średnich w Łodzi, dokąd codziennie prawie musi dojeżdżać. Z nastaniem wojny przyszły ciężkie chwile dla parafji konstantynowskiej. Miasto to bowiem znalazło się w strefie działań wojennych i zostało prawie całe zrujnowane pociskami armatniemi. Ofiarą padł również i kościół ewangelicki. Ks. Schmidt jednak pozostał na posterunku, niosąc nie tylko współwyznawcom, ale całemu społeczeństwu konstantynowskiemu pomoc w nieszczęściu, jako członek tamtejszego Komitetu Obywatelskiego.

Po skończonej wojnie umieli inni ocenić zasługi Jubilata, nie potrafiła zrozumieć ich tylko pewna część własnych współwyznawców, podburzana przez łódzkich działaczy hakatystycznych. Dużo trzeba było spokoju wewnętrznego i równowagi ducha, aby te nieusprawiedliwione niczem antagonizmy przeciwko swojej osobie przez Jubilata ostatecznie przezwyciężone zostały. Ale największy cios, jaki przy tem wszystkiem spotkał Jubilata i Jego rodzinę — to była śmierć jego najstarszego 17-letniego syna, ś. p. Witolda, wiosną r. b. I wówczas, kiedy na pogrzeb przybyło z różnych stron dwudziestu kilku księży pastorów — Jubilat mógł się przekonać, jak wielką miłością cieszy się wśród swoich kolegów.

Tak więc „Kogo Bóg miłuje, tego karze, a tego smaga, kogo za syna przyjmuje"...

Wśród różnych przeciwieństw życia — ks. L. Schmidt nie opuścił rąk. Zreorganizował parafję, odbudował spalony czasu wojny kościół, odrestaurował plebanję. W tej pracy cichej, zbożnej znajdował zawsze ukojenie. Wraz z nim dzieliła te trudy i troski wierna Jego Małżonka, córka zacnej i świętej pamięci ks. Wendta, niegdyś pastora w Nowosolnej. Dzięki niej dom pastorstwa Schmidt jest nadzwyczaj gościnny, a w swej gościnności — otwarty, szczery i serdeczny.

•

Dnia 16 grudnia, w dzień jubileuszu od samego rana przyjaciele i znajomi dobrzy odwiedzać zaczęli plebanję konstantynowską, by złożyć życzenia ks. L. Schmidtowi. Wieczorem zaś zebrało się około ośmnastu księży pastorów z ks. Sup. W. Angersteinem, ks. radcą A. Lothem, ks. sen. E. Wendem na czele. Wśród nich byli profesorzy fakultetu teol. uniw. warsz. i ks. pastor ew.-ref. S. Skierski. Uroczystość jubileuszową rozpoczął ks. Sup. Angerstein modlitwą i przemową, w imieniu Konstystorza odczytał adres — ks. radca Loth, w imieniu kolegów winszował Jubilatowi ks. Wosch z Włocławka i wręczył mu jubileuszowy pierścień. Następnie wszyscy zasiedli przy wspólnym biesiadnym stole do wieczerzy, która, urozmaicona licznemi toastami, przeciągnęła się do późna wieczór.



Odnowiony kościół ewang. w Konstantynowie.

Spełniając ten swój miły obowiązek i dzieląc się wrażeniami jubileuszu ks. Schmidta z czytelnikami Głosu Ew. — kończymy swe sprawozdanie życzeniem dla zacnego Jubilata: Ad moltos annos! X. F. G.

P. Hulka-Laskowski.

W WIGILJĘ.

Fragment.

Major Iwecki usiadł na wskazanem mu krześle obok biurka gospodarza, ks. Wigury, i czekał. Gabinet, do którego go wprowadzono, był duży, urządzony z purytańską prostotą. Proste półki dębowe dźwigały w kilku kondygnacjach wielkie mnóstwo ksiąg i książek. Na stole, na krzesłach, na otomanie, na stoliku obok niej, wszędzie leżały pootwierane książki, broszury, czasopisma. Ze wszystkiego było widać, że ks. Wigura wydatnie korzystał ze swojej bibljoteki, ale że od pracy bibljotecznej był często odrywany innemi sprawami.

Poprzez biurko, zawalone mnóstwem papierów, broszur, listów, z pośród których wynurzały się przyciski w postaci artystycznych cacek i prostych polnych kamieni, major spojrzał na placyk przed oknem. Zimowy dzień, bezsłoneczny i mroźny chylił się ku końcowi. Placyk, tworzący w tem miejscu jakby zatokę ustronnej, rzadko zabudowanej ulicy małego miasta prowincjonalnego, był pusty. Młody kasztan, przywiązany na środku placyku do grubego koła, zdawał się drżeć z zimna, jak skazaniec nago przywiązany do słupa. Z za szarego piętrowego domu narożnego wynurzyła się postać staruszki w starym, okropnie niemodnym płaszczu i opierając się na kijku, posuwała się po oślizłej ulicy wolno i ostrożnie krok za krokiem. Na dziedzińcu przed kościołem z czerwonej cegły, w stylu nadwiślańskiego gotyku, młody chłopak w niebieskim fartuchu na kożuchu, zamiatał z wielką gorliwością śnieg. Gdzieś w pobliżu jasno i wesoło zabrzęczały dzwonki sanek i zamilkły, jakby pochłonięte puchem śniegu. Z za ściany dobiegał świeży głos swawolącego dziecka.

Na te odgłosy major drgnął, jak człowiek z obolałą częścią ciała, której w żaden sposób niepodobna uchronić, aby była nie potrącana przez wszystko i wszystkich, i która bezustannie przypomina o sobie i męczy, męczy... Przypominały mu się Aleje Ujazdowskie i te takie niedawne jeszcze czasy, gdy zdawało mu się, że jest niepodzielnym panem trwałego i niezmiennego szczęścia. Gdzieś, w głębi głowy czy piersi odczuł głuchy niemiłosierny ból przypomnienia. Uciekając przed tem uczuciem szukał dla oka i dla myśli czegoś, co mogłoby rozerwać, pozwolić zapomnieć. Spojrzenie spotkało się z dużym stojącym na biurku kalendarzem i z wielką na nim liczbą 23.

Jutro wigilja — pomyślał bezwiednie i znowuż ten ból przejmujący płynął ku niemu nawet od tej prostej liczby kalendarzowej. Przypomniały mu się wszystkie najbardziej odległe wigilje, blask niezliczonych choinek zajaśniał w tem wspomnieniu, wionęło nań dawną radością, której przyczyny zostały dawno zapomniane, przyszło w przypomnieniu burzliwe wesele, niebo wyiskrzone gwiazdami, rozśpiewany kościół, rozradowany, uroczysty tłum, on sam, nie wiedzący co robić z nadmiarem rozpierającej go radości, a potem raptem, nieubłaganie, jak strącenie człowieka w przepaść, ta żałość nieopowiedziana, straszna, niemiłosierna i zimna, karząca okropnym bólem za podeptanie szczęścia.

— Stefek będzie miał teraz cztery lata—pomyślało sie jakoś mimowoli. — Gdzie on jest? I Ludka!... Co ona myśli? Co czuje?

Opierał się jakimś myślom i patrzył dokoła, odczytując napisy na grzbietach grubych foljałów, ale płoszone uczucia i myśli wyrastały barwnemi, wyrazistemi obrazami z pod ziemi i chciały być widziane koniecznie w całej nieubłaganej jaskrawości swojej, w całym uroku, który był potępieniem i męką.

— Nie, nie! — żachnął sie niecierpliwie, jakby komuś przeczył. — Naturalnie, że nie! — Nawet gdyby nim nie musiały gardzić, on sam przecie nie mógłby sobie przebaczyć nigdy i nigdy! Wobec czego niema sensu, że tu przyjechał z Warszawy.

— Niema sensu — powtórzył sobie półgłosem. — Dobrze, że ks. Wigury nie zastał. Wstanie, powie służącej, że przyjdzie później, bo nie ma czasu, i odejdzie. Tak będzie najlepiej. Bo i poco on tu właściwie przyjechał? Co powie? Będzie tłumaczył obcemu człowiekowi swój niewczesny żal? Będzie mu mówił o swojej męce? Trzeba odejść, odjechać, natychmiast, zaraz! Jak mógł wogóle nie zastanowić się nad tym krokiem? Takie to przecież nieobmyślane, jak odruch tego bólu, przed którym niema ucieczki, niema i niema...

„Większa jest nieprawość moja, niżby mi mogła zostać przebaczona“ — przypomniało mu się słowo z Historji świętej. Nieubłagany bywa człowiek i niemiłosierny dla siebie! Bóg przebaczy, człowiek przebaczy i zapomni krzywdzicielowi, a krzywdziciel pamięta sobie swoje zło i nie przebaczy. Zbiegiem zostaje i tułaczem, ucieka przed sumieniem i dźwiga je z sobą...

Wstał i zamierzył ku drzwiom. Otwarły się cicho i na progu stanął czerstwy krępy, zlekka szpakowaty Ślązak, ks. Wigura. Policzki miał od mrozu zarumienione a na ustach uśmiech, który się jednakże ustom zziębniętym niebardzo udawał.

— Witam pana! — wołał, wyciągając rękę do majora i przyglądając mu się z za okularów. Był pewien, że twarz tę już gdzieś widział, że zna tę postawę i doszukiwał się pracowicie w pamięci, ale wreszcie dał za wygraną. — Proszę, niech pan siada! — przysunął gościowi krzesło, nie odrywając od niego oczu. — Zdaje mi się, że już się gdzieś widzieliśmy.

— Tak jest, księże pastorze. Ksiądz mi dawał ślub — odpowiadał głosem zduszonym pięć lat temu... Jestem major —zawahał się chwilę, jakby się obawiał skutków wymówienia swego nazwiska. — Jestem Iwecki.

— Aa, pan major Iwecki — wyprostował się ks. Wigura. Bardzo mi... Czem mogę panu służyć? — pytał już chłodno. Z zarumienionej jego twarzy znikł uśmiech, na czole skupiła się powaga, ufne i otwarte spojrzenie cofnęło się za szkła okularów.

Major nie zdobył się na odpowiedź. Teraz dopiero widział, że zabrał się do zasypywania niezgłębionej przepaści, którą sam wykopywał. Co powiedzieć? Jak opisać tę mękę, której opowiedzieć nie zdoła? I na co opisywać? Zaczął mówić szybko, jakby w pasji pragnienia, aby uniemożliwić sobie wszelkie dalsze wywody:

— Przyjechałem tu z Warszawy z określonym celem, ale spostrzegam, że nie powinienem był tego uczynić...

— Tak — rzekł ks. Wigura, jakby mówił: Słucham.

— Od dwóch lat przeszło zrozumiałem wszystko i...

— Tak — przyświadczył znowu ks. Wigura, a gdy major nie zdobywał się na dalszy ciąg, zaczął mówić sam: — Ja panu oszczędzę przykrych wyznań. Panu pewno żal tego kroku z przed trzech lat... Może pan myśli o naprawieniu krzywdy...

Zawahał się i spojrzał majorowi w oczy. Ten nie odrywał oczu od mówiącego, jakby się teraz dopiero miał dowiedzieć, czy to jest prawda, że stała się taka rzecz potworna i taka straszna w następstwach.

— ...ale to trudna sprawa — mówił ks. Wigura dalej. — Trzy lata straszliwej męki! Czy pan pomyślał kiedy o uczuciu, jakie się budzi w sercu, gdy to serce traci wiarę w człowieka kochanego i uwielbianego? Otóż teraz, kiedy przychodzi spokój...

— Przychodzi spokój! — powtórzył mimowolnie major.

— Tak jest. Przynajmniej nam się zdaje. Teraz więc rozdrapywać nanowo ranę....

— Proszę księdza — zawołał major powziąwszy nagłą decyzję. — Przyjechałem tu, by się dowiedzieć gdzie ona... pani Ludwika... mieszka. Szukam jej dawno. Powiedziano mi, że ksiądz wie. Chciałem jej tylko powie-

dzieć, tylko parę słów... zobaczyć Stefka... A potem już nigdy...

Ks. Wigura pomyślał chwilę, a potem rzekł powoli i z wielkim naciskiem:

— Ja panu powiem, gdzie ona mieszka, może nawet bardzo blisko, ale pan mi da słowo honoru, że pan się z nią nie zobaczy, że pan się o to starać nie będzie.

— Czy tak trzeba koniecznie? — wyszeptał major.

— Koniecznie.

— Więc daję słowo honoru.

— Mieszka w tym domu, pracuje w naszym szpitaliku...

— Stefek?..

— Także. Jest zdrów. Dobrze mu u nas.

— Czy ksiądz nie sądzi, że później kiedyś... zapytał major po chwili.

— Pan jest człowiekiem żonatym — mówił ks. Wigura chłodno i z naciskiem. — Pan odtrącił panią Ludwikę bez cienia jakichś powodów, bez dania jej możności obrony prawnej. Pan się nie rozwiódł z nią, ale pozwolił unieważnić małżeństwo... Pan rozumie, że wobec tego...

— Rozumiem — rzekł major twardo i powstał. — Moje zaślepienie było wielkie i to okropne ułatwienie występku...

— Nie odpowiem panu na to słowo, bo pan wie, że zbyt łatwo byłoby mi odpowiedzieć na uwagę o ułatwieniu.

— Ja sobie wszystko już powiedziałem, teraz dowiedziałem się reszty. Dziękuję księdzu i żegnam.

Księdzu Wigurze zrobiło się majora serdecznie żal. Widział, jak bardzo ten człowiek cierpi i wiedział, jak serdecznie współczująco wspominała go pani Ludwika. Gdy ściskał podaną sobie dłoń, czuł, że jest rozpalona. Na bladej twarzy gościa pojawiły się wypieki. Pomyślał chwilę i rzekł:

— Ja nie mam prawa nic przesądzać, panie majorze, i nic panu powiedzieć nie mogę. Niech mi pan pozostawi trochę czasu i niech pan do mnie napisze za rok, za pół roku, jak pan będzie uważał. Ja panu odpowiem. Czy sprawa jest do rozwikłania, to już pan sam najlepiej wiedzieć musi.

— Ja? — zapytał major.

— Tak, pan — odpowiedział ks. Wigura z naciskiem.

— A ten głos dziecka za ścianą?

Ks. Wigura skinął w milczeniu głową.

— Dziękuję i żegnam księdza. Napiszę.

Po wyjściu od ks. Wigury, major szedł wolno wdłuż domu, który właśnie opuścił i spoglądał w okna z rozpaczliwą beznadzieją, że nie zobaczy swego synka i jego matki. Zamierzył ku hotelowi. Zapłaci rachunek i ruszy odrazu na dworzec. Potem, potem, za rok, czy za pół roku, napisze do ks. Wigury. Może.

— Gdzie tu jest szpital? — zapytał pierwszego napotkanego przechodnia.

— Który?

— Ewangelicki.

— Aa, ta przy ulicy Krótkiej, w ogrodzie — odpowiedziano mu i wskazano którędy iść trzeba.

Znalazł się niebawem przed bramą ogrodu, w którego głębi widniał budynek szpitalny. Ciemniało już i w niektórych oknach zapalano światło. Popatrzył ku tym oknom, zbliżył się ku bramie, postał chwilę, a potem zawrócił z miejsca i szybkim krokiem zaczął się oddalać.

W zimnej ponurej izbie prowincjonalnego hotelu wrzucił do ręcznej walizki, pudełko z papierosami i różne drobiazgi, a dokonawszy pakowania, zadzwonił na służącego, aby mu przyniósł rachunek. Lecz zanim służący przyszedł dojrzała w nim myśl inna. Kazał sobie przynieść herbaty i otuliwszy się pledem na kanapie postanowił się zdrzemnąć. Bolała go głowa i miał dreszcze. Zmęczony śmiertelnie, zapadł w jakiś półsen pełen niepokoju.

O pewnej godzinie obudził go gwizdek stróża nocnego. Do pokoju przez niezasłonięte okno wpadało światło latarni ulicznej. Spojrzał na zegarek: było pół do trzeciej. Zdrętwiały z chłodu, wyprostował się i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Rano zadzwonił na służącego i kazał sobie przygotować rachunek na wieczór. Pokój odda o siódmej, może ósmej. Wypił szklankę herbaty, zapalił papierosa i wyszedł na miasto. Znał je z czasów, gdy starał się o rękę Ludki. Miał tu takie miejsca miłe za rzeką na drodze ku lasowi. Tam poszedł.

Przyszedł na most, za którym stała drewniana kapliczka z świętym Janem. Na tle zaśnieżonych pól czerniał w dali las. Wysoki nasyp kolejowy rozdzielał krajobraz na dwie połowy. W pewnej chwili z lasu wybiegł pociąg i zionął czarnym dymem na biały krajobraz. Major spoglądał dokoła i wspominał.

Zapuścił się w las, doszedł aż ku skrajowi pierwszej wioski na rozległej polanie i odnalazł nawet wielki pniak po ściętym dębie, na którym siedzieli ongiś oboje, czytając jakieś wiersze. Była wiosna i na pobliskiej gałęzi krzaka słowik śpiewał tak głośno, jakby ich napominał, żeby przecie dali spokój czytaniu, gdy taka cudna jest wiosna...

Przechodził tak cały krótki dzień zimowy. Ku wieczorowi wrócił do hotelu, zjadł wigilijny podwieczorek, napił się herbaty i zapłacił rachunek. Walizkę kazał zanieść na dworzec i kupić sobie bilet do Warszawy, a gdy się ściemniło, ruszył chyłkiem, jak złodziej w stronę kościoła ewangelickiego. Krążył jakiemiś odległemi ulicami, wydłużał sobie drogę z rozmysłem i uporem. Wreszcie podszedł całkiem blisko. Okna kościoła tryskały światłem, tu i owdzie snuły się postaci ludzkie, wynurzając się z mroków i zmierzając ku kościołowi. Jak złodziej wszedł na dziedziniec, podszedł ku drzwiom i zakradł się z innymi do wnętrza. Stanął pod chórem za filarem, żeby go nikt nie widział i teraz dopiero do świadomości jego dotarły pieśni śpiewanej przez cały kościół:

Czas radości, wesołości nastał
Światu temu,
Bo Zbawiciel Odkupiciel
Światu dan grzesznemu.

Żal ścisnął mu serce tępemi kleszczami. Zebrał się w sobie i spojrzał ku ławkom w pobliżu ołtarza. Narazie z za głów nie widział nic, w oczach troiło mu się bezustannie, w głowie czuł przejmujący ból, gorączka wzmagała się coraz bardziej.

Zbawicielu, Przyjacielu, Panie Jezu Chryste;
Ty królujesz, opatrujesz w skarby wiekuiste.
Królu nasz kochany, Panem Tyś nad Pany!
Z swej miłości nam radości w niebie dasz.

Czuł, że po twarzy spływa mu gorąca duża łza. Nie bronił się. Patrzył teraz spokojnie. Przed ołtarz wyszedł ks. Wigura i coś mówił. W jednej z pierwszych bocznych ławek siedziała Ludka z synem. Była dziwnie ładna i poważna. Czuł na wszelką pewność, że myśli o nim. Stefek spoglądał ku ołtarzowi i na matkę, jakby chciał o coś zapytać.

Major patrzył przez jakąś wieczność na twarze dwojga istot drogich mu i bliskich a zarazem obcych z jego winy. W pewnej chwili po kościele poszedł szelest: ludzie klękali do modlitwy. Widział, jak Ludka pochyliła twarz i znowuż wiedział, że modli się za niego. Przykląkł na chwilę, powtarzając słowa modlitwy, a potem wykradł się z kościoła i ruszył ku dworcowi kolejowemu.

Leon Rygier.

ZWYCIĘSTWO NAD SMUTKIEM.

(Nad grobem Władysława St. Reymonta).

I.

Niepodobna pod wrażeniem nowego piorunu, który tak nagle i niespodziewanie zdruzgotał drugi potężny filar świątyni naszego Słowa, pisać studjum o Reymoncie. Smutek, przepełniający serce na widok niepowetowanego spustoszenia, jakie sprawiły dwa skony największych mistrzów prozy polskiej, nie pozwala spokojnie ocenić dorobku, który nam po nich pozostał. Żal drga w słowach, cisnących się pod pióro, i mąci sąd objektywny; nie myśl lecz uczucie domaga się głosu.

Ci, co znali Reymonta osobiście, śmierć jego przedwczesną muszą odczuwać, jako jeden z tych paradoksów, któremi los pragnie zadrwić z normalnej logiki człowieka. Nie było bowiem w Polsce współczesnej pisarza, któryby słuszniej od niego mógł uchodzić za personifikację elementarnej poprostu siły życia.

„Hej, zwiesna ci to szła przecież nieobjętemi polami, skowronkowe pieśnie głosiły ją światu, i to słońce święte, i ten wiater pieszczący, słodki a ciepły, kiej matczyne całunki, i to przytajone jeszcze dychanie ziemic tęsknie czekających na pługi i ziarno, i to wrzenie wesela, unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiałe tem wszystkiem, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem klosem pełnym".



Gdy myślę o Reymoncie, o jego prostej, szczerej, żywiołowo pobudliwej rozmowie, nieustannem tworzeniu wielkich planów, które były potężną reakcją na każdy nowy kształt życia, nie mogę poprostu uwierzyć w jego śmierć. Jest ona dla mnie nonsensem, jak nonsensem byłby śnieg, pokrywający w samo czerwcowe południe skąpane w blasku słońca pola i łąki.

Cała, bez wyjątku prawie, literatura czasów naszej niewoli naznaczona była stygmatem tego zadręczającego smutku, który Mickiewicz nazwał „cierpieniem za miljony". Jeśli przezwyciężano go czasami, to zawsze dzięki urodzonemu z rozpaczy przewartościowaniu wartości. Takiem przewartościowaniem był mesjanizm, tworzący z ojczyzny „z krwi i ciała" nadgwiezdne Jeruzalem mistyczne, takiem i (jakże strasznem!) przewartościowaniem była rezygnacja z niepodległości na korzyść kultury zachodniej, i rynków wschodnich autora „Wskazań politycznych", takiem przewartościowaniem wreszcie było wyolbrzymienie znaczenia sztuki i kult „nagiej duszy" Przybyszewskiego. Zarówno koncepcje, tworzące z Polski mit, wyniesiony na szczyty wzniosłości, jak czyniące z niej niewolnika rozsądku na korzyść abstrakcyjnie pojętej idei „postępu", były — różniącemi się tak zasadniczo pod względem jakości moralnej — lecz zawsze jednakowo bolesnemi próbami przesłonięcia złudą rzeczywistości. Pozatem było cierpienie, więcej nawet — uwielbienie cierpienia, jak w bohaterskim apologecie wzniosłej ofiary, Żeromskim. Nawet Prus, w którym wielu chce widzieć polskiego Dickensa, pomimo swego przedziwnego humoru najbardziej umiłował tych, co najwięcej kochali i cierpieli.

Czuł tę prawdę Wyspiański, gdy, zatrzasnąwszy drzwi grobów królewskich, w które strącił pochodnię Genjusza, staje na nich i woła z płomiennym protestem:

„Poezjo, precz! Jesteś tyranem".

Jeden tylko Reymont widział „zwiesnę", która „ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosiernemi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dolę, na obfitsze zbiory i na tę wytęsknionej szczęśliwości godzinę".

II.

Pokolenie, dla którego biblją moralności społecznej byli „Ludzie bezdomni" Żeromskiego, które uczyło się od niego wierności dla „snu o szpadzie", które „walkę z szatanem" wypisało na swoim sztandarze, pomimo całej swej miłości dla Mistrza, niezawsze mogło mu dorównać w wielkości jego wyrzeczenia. Och — jakże spragnione było pociechy, płynącej „urody życia", której on właśnie był takim niedościgniony malarzem. Ale ta uroda życia była przecież złudną fatamorganą, „wodą szatana", w której wiekuisty wróg prawdy i dobra czyhał na duszę człowieka. Nad wirami pokus przemocnych nikt nie umiał przerzucić kładki.

Pamiętam, z jaką tęsknotą wyczekiwaliśmy każdej nowej książki Wyspiańskiego, który, jak Tezeusz szukał nici Arjadny w Labiryncie polskim, Wawelu. „Czy my aby mamy prawo żyć?" „Wyzwolenie", niestety, nie stało się wyzwoleniem. Przyszła „Akropolis". Zdumienie ogarnęło dusze. Więc trzeba zrzucić z bark anielskich trumnę św. Stanisława? Więc aniołowie, którzy ją w męce dźwigali, mają zrezygnować ze swej świętości — i w uroczystej chwili, poprzedzającej Zmartwychwstanie, oddać się upojeniu cielesnej miłości? Więc Rycerz i Panna mają zstąpić do kaplicy, w której dotychczas panował majestat śmierci i świętości? Więc Eros ma się stać panem tam, gdzie dotychczas królował męczennik i patron Polski? A wtedy zmartwychwstanie Chrystus — Salvator, by ujrzeć, jak trumnę, św. Stanisława druzgocze rydwan Apollina?..

I po całej Polsce rozbrzmiały słowa hymnu:

Zmartwychwstał Ten, zmartwychwstał On,
co nosi cierń u skroni;
na ołtarz wszedł, na złoty tron,
poza Nim dzień, dzień wschodzi.

Zabrzęczał Zygmuntowski dzwon
i bije, jako młotem —

jakby już Polska wszystka wstała
hej, w dawnych swoich dolach,
jakby już szczęście swoje miała
po wiekach, hej, po latach,
i klęsk, i krzywdy zapomniała...

Jeśli dla kogo w Polsce ciemną była myśl Wyspiańskiego, to z pewnością nie dla Reymonta. On jeden rozumiał ją nie mózgiem może, ale najgłębszym instynktem rasy. Tak samo, jak rozumiał słowa modlitwy z „Wyzwolenia":

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą...

Jest tyle sił w narodzie,
jest tyle mnogo ludzi....

Nie może tam być śmierci, gdzie instynkt życia pazurami wpija się w ziemię. Mogą ginąć poszczególni ludzie, mogą wymierać pokolenia, ale nie zginie gromada. Nie zginie „Polska żywa", jej rdzeń, pełen soków żywotnych: lud. Śmierć jednych jest siewem dla drugich. „Boryna naraz przyklęknął na zagonie i jął w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnąwszy tyla, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Przychylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach".

Umierający w malignie chłop urasta tu do rozmiarów bohatera, istotnie „przemagającego śmierć".

III.

To, o czem marzył Wyspiański, czego tragiczną duszą swoją napróżno wypatrywał za wrotami więżącego ją teatru, o co się modlił najprostszemi ze swych cudownych słów:

Chcę, żeby w letni dzień,
w upalny letni dzień
przede mną zżęto żytni łan,
dzwoniących sierpów słyszeć szmer —

to dokonało się dla Reymonta.

„Hej, jaki to świat śliczny, kiej się nań patrzą rozmiłowane oczy!

A jaki to człowiek mocen w onej świętej godzinie! Z Bogiemby się zmagał, śmierciby się nie dał, nawet doliby się przeciwił. Życie mu jednem weselem, a bratem, choćby i ten stwór najmarniejszy. Przed każdym dniemby klękał w podzięce, każdej nocyby błogosławił, i na każdem miejscu wszystekby się rozdawał między bliźnie, a bogaczem ostaje, a ciągiem mu jeszcze przybywa mocy, kochania i dni bardziej cudnych.

Światami dusza się jego nosi, górnie, we gwiazdy patrzy zbliska, nieba zuchwale sięga, o wiecznej śni szczęśliwości, bo się jej widzi, że niema już kresu ni zapory dla jej mocy i kochania".

Niejeden z wielkich kochał tak ziemię swoją, ojczyznę nieszczęsną. Ale w miłości tej nie mógł znaleźć jednego, nie mógł znaleźć szczęścia. Dusza jego nie poradziła tej ciężkiej zaporze, która się zwała niewolą. A Reymont poradził. Bowiem, jak nikt inny, wczuł się w potężny rytm pracy na roli, pracy gromadnej, podległej odwiecznym, niezmiennym prawom, stworzonym nie przez człowieka, lecz przez Boga. Aż wreszcie cały naród stał się dlań jedną gromadą siewców, która musi doczekać się radosnego dnia plonów. Musi — bo żądają tego prawa kosmiczne, silniejsze od wszystkich prób i klęsk.

Tego rodzaju optymizm nie jest, nie może być jałowym. On nie usypia energji; przeciwnie — wzmaga jej aktywność, bowiem nie uznaje przeszkód niepokonalnych. Jest w nim chłopska zawziętość, karczująca grunt z najtwardszych korzeni, krusząca najoporniejszą grudę. Ale niema w nim miejsca na hamletowski smutek, jak również na wszelką rezygnacyjną ucieczkę w marzenie.

„Kościuszko wytężał wszystkie siły, organizował, zbroił, zachęcał, groził i błagał obywatelów o ratowanie ojczyzny. Nie przemógł jednak okrutnego przeznaczenia.

Nieskończone ofiary, morza krwi, nadludzkie poświęcenia i bezgraniczne wysiłki.

A po tem wszystkiem — Maciejowicki pogrom.

A potem rzeź Pragi.

A potem kres wszystkiego. Otchłań długiej, beznadziejnej nocy.

Nie zginęła! Woła z pod ruin i zgliszcz Dąbrowski, za gwiazdą Napoleona wiodący hufce, wierne ojczyźnie, na lata tułaczki, bojów, ofiar męki i poświęceń.

Księstwo Warszawskie. Królestwo Kongresowe. Marzenia stają się ciałem.

A potem wybucha rok 1830.

I znowu nowe mogiły, wygnania, ofiary i syzyfowa praca od początku.

A potem rok 1863.

Grobowe płyty przywalają umarłe i żywe; mogiła okuta kajdanami, a na straży nahaje.

Ale nie zginęła!

Burza się rozszalała. Oceany wystąpiły z brzegów. Zapadają się światy. Himalaje rozpadają się w gruzy, ale ze straszliwych odmętów, ze zmagania się żywiołów, z walki kosmicznych potęg podnosi się zwolna nowy ląd, zapala się nowe słońce, a na niem piorunami jaśniejące zgłoski:

„Wolność! Całość! Niepodległość!" jak ongi, przed laty, na Kościuszkowskich sztandarach i jak zawsze w w każdem sercu polskiem wyryte".

Tak kończy Reymont wielką trylogję o roku 1794. W dziejach Polski, jak zawsze, jak wszędzie, widzi „walkę kosmicznych potęg", tych samych, którym podlega i ufa rolnik pracujący. Po jesieni i zimie musi przyjść wiosna i lato. Prawo odwieczne, jak obrót ciał niebieskich. Prawo jasne, jak słońce.

Dwa światy.

Odpowiedź ks. Franciszkowi Jehliczce, profesorowi Wydziału Teologji Katolickiej w Warszawie.

Przez prof. E. Burschego.

Niestety, jeszcze raz zmuszony jestem zabrać głos w sprawie ogłoszonych przezemnie publikacji o Wydziale Teologji Ewangelickiej. Zaledwie bowiem rozpoczął się druk odpowiedzi mojej na wystąpienie w „Przeglądzie Powszechnym“ ks. Jana Rostworowskiego, gdy w „Przeglądzie Katolickim“ (Nr.Nr. 43 i 44 z 1 i 8 listopada 1925 roku) prof. Fr. Jehliczka wystąpił z artykułem, „Katolicyzm a wiedza“, określając go bliżej jako „odpowiedź na napaść p. Edmunda Burschego, profesora Wydziału Teologji Ewangelickiej w Warszawie“.

Obecnie, również, powtarzam to, co poprzednio już powiedziałem, obca mi jest zupełnie chęć polemizowania bezcelowego. I owszem, jeśli już w poprzedniej odpowiedzi, udzielonej ks. Rostworowskiemu, w pewnej mierze przeciwstawiłem sobie dwa światy, to obecnie, zaznaczając to w tytule również, pragnę rozwinąć tę myśl tym bardziej, gdy artykuł prof. Jehliczki nastręcza ku temu cały szereg sposobności. Zdaję sobie przytym dokładnie sprawę, że w ramach odpowiedzi niniejszej niepodobna uwzględnić wszystkich przeciwieństw, jakie zachodzą pomiędzy ewangelicyzmem oraz rzymskim - katolicyzmem, uwzględnię przeto tylko te momenty, które wysunięte zostały przez przeciwnika mego. Mniemam też, że wystarczy to w zupełności, aby wykazać, że rzeczywiście mamy tu do czynienia z dwoma zupełnie odrębnemi światami myśli oraz uczuć. Takie ujęcie sprawy tym bardziej wydaje mi się być wskazane, gdyż pozwoli mi to wykonać pracę pozytywną w przeciwieństwie do negatywnego charakteru, jaki przybrać by musiała wszelka polemika.

Nim jednak przystąpię do przeciwstawienia sobie dwuch światów muszę poczynić kilka uwag o metodach polemicznych ks. F. Jehliczki. Nie będę przytym zatrzymywał się nad ogólnym tonem, który cechuje zwłaszcza pierwszą część wystąpienia mego przeciwnika. Nie dotyczy to bowiem rzeczy samej, a jest to raczej sprawą upodobania szczególnego, gdy walczy się z twierdzeniami, których przeciwnikowi ani się nie śniło wysuwać. Dzięki takiej metodzie ks. Jehliczka ma przyjemność zwalczania agnostycyzmu, ateizmu, odstępstwa od chrześcijaństwa i t. p., może bronić historyczności istnienia Jezusa, czemu nikt nie przeczył, słowem stwarzać sobie przeciwników w danym wypadku nieistniejących i zwalczać ich z całą powagą. Oczywiście, że nie bronimy nikomu walki z wiatrakami, jeśli mu to sprawia przyjemność.

Ale oto okazuje się między innemi, że wystąpienie ks. J. wywołane zostało uprzednią rzekomo napaścią z mojej strony. Otóż tę sprawę wypadnie mi nieco dokładniej jeszcze oświetlić. Już w poprzednim artykule moim stwierdziłem, że posądzenie mnie o napaść na kościół katolicki, lub nawet na uczonych katolickich polegać może jedynie na nieporozuminiu. Tu chciałbym bliżej dotknąć się tej sprawy i wobec tego pytam się w czym ks. F. J. dostrzegł ową rzekomą napaść? W odpowiedzi przytaczam słowa przeciwnika mego, który mówiąc o broszurce mojej pisze: „Z tytułu sądziliśmy, że broszura zajmuje się tylko swoim przedmiotem, tymczasem w drugiej jej części znaleźliśmy w najwyższym stopniu wrogą krytykę teologji katolickiej, jej Wydziałów, przyczem dostało się i świeckim uczonym, stojącym na gruncie katolickim. P. prof. Bursche przedstawia siebie i pp. kolegów swoich, jako jedynych rzeczywiście naukowych reprezentantów badań religijnych, Wydziałowi zaś Teologji Katolickiej, jak również świeckim profesorom, katolikom, ośmiela się zarzucać „nienaukowość“.

Nawiasem mówiąc ja wyrazu „nienaukowość“, mimo iż ks. Jehliczka przytacza go w cudzysłowie, w tym związku nie użyłem. Ale i pozatym nie powiedziałem tego co przytacza mój przeciwnik, nie zajmowałem się bowiem w broszurce swej Wydziałem Teologji Katolickiej. To też jedyny zwrot w broszurce mojej, dotyczący tych spraw, stwierdza tylko rzecz ogólnie zresztą znaną, że „wykładający na wydziałach teologji katolickiej w badaniach swoich w znakomitej mierze ograniczeni są dogmatami kościoła“, co przecież i ks. F. J. w całym swym artykule uważa za rzecz zupełnie naturalną. Nie może przeto ten zwrot jedyny o Wydziale Teologji Katolickiej być uważany za napaść.

A dalej wspomniałem wszak tylko o powszechnie również znanych enuncjacjach Kurji rzymskiej, o dekre-

WĘGRÓW.

Skreślił E. Hausbrandt.

(Dokończenie).

Podajemy w tłumaczeniu naszem list do Jana III-go, pisany przez Elektora w języku ówczesnej dyplomacji i świata naukowego.

Potsdam dn. 24 czerwca r. 1685

„Tylekroć od Waszej Kr. Mości doznawana życzliwość skłania Nas do zwrócenia się ku Wam, Najmilszy bracie, gdyż niepokoi Nas troska nie tylko o niezależność, lecz o byt kościołów ewangelickich, które są na ziemiach Waszych założone.

Pod najlepszymi wróżbami i pod najpotężniejszą obroną Waszej Kr. Mości nadaną została niezachwiana swoboda wyznania, przeto święte W. Kr. Mości rozporządzenie i zasadnicze prawa Rzeczypospolitej zatwierdzona.

Gdy więc cały świat chrześcijański wysoko ceni, czci i szanuje W. Kr. Mość, jako najsilniejsze przeciw wspólnemu wrogowi przedmurze swoje i gdy dopuszczone jest czczenie światła prawdy w modlitewniach tureckich — W. Kr. Mość nie pozwoli w państwie Swem zamykać świątynie, w których dzięki Bogu Najwyższemu i Najlepszemu za najszczęśliwsze W. Kr. Mości przeciw turkom powodzenie zanoszą się kornie modły dziękczynne oraz nie pozwoli, żeby używanie i czczenie światłości Bożej uciśnieniu podlegało.

Pokładamy najgłębsze zaufanie w przychylności i chrześcijańskiem uczuciu W. K. Mości oraz w poruczeniach, danych Naszemu posłowi nadzwyczajnemu p. bar. de Boguska Schulenburgowi, że W. K. Mość poleci kościół w Węgrowie, bez wiedzy i polecenia Waszego zamknięty, bezzwłocznie otworzyć i że w przyszłości na swobodne tamże odprawianie nabożeństw religji ewangelickiej zezwoli.

W ten sposób nie tylko zobowiązanie W. K. Mości, jako obrońcy wiary, opieką królewską osłoniętej na cześć zasługiwać nie przestanie, lecz także zniewoli do wzajemnych zobowiązań i przysług Nas, którzy o pomyślny stan zdrowia i nieograniczone powodzenie W. K. Mości w głębi duszy zanosimy modły“.

W sprawie dysydentów i zamykanych kościołów akatolickich w Polsce mamy podobnież kopję listu Piotra W. do Augusta II-go z dnia 6-go sierpnia r. 1824.

Jakkolwiek parafja Węgrowska wymieniona tu nie jest, jednakże treść listu, mając za przedmiot nietolerancyjne postępowanie duchowieństwa katol. wogóle, obejmowała przez to samo także kościół węgrowski.

Monarcha rosyjski pisze, iż bez względu na zawarty w r. 1716-tym za jego pośrednictwem i poręczeniem traktat, gwarantujący dysydentom prawa i prerogatywy, a również pomimo przedstawienia ambasadora rosyjskiego Grecy i protestanci cierpią ucisk i coraz większe prześladowanie; prosi zatem i żąda, ażeby król polski bezprawia te ukrócił, ażeby na najbliższym sejmie przedsięwzięte zostały środki ku przywróceniu dysydentom dawnych swobód i prerogatyw; ostrzega zarazem, że także inne wysokie mocarstwa staną w silnej obronie dysydentów i dalsze prześladowania wiele niepożądanych następstw pozatem spowodować mogą.

cie „Lamentabili" i encyklice „Pascendi". Jeśli przytym stwierdziłem, że dekret „Lamentabili" potępia bezwzględnie 65 zdań, które stanowią w większości swej bezsprzeczną i oczywistą zdobycz badań historycznych, przyczym rozciąga kontrolę swoją nawet na nauki świeckie", to wszak każdy po przeczytaniu owych 65 zdań potępionych może się przekonać o tym, że odpowiada to rzeczywistości. O napaści więc i tu mowy być nie może, chyba że ujawnienie prawdy poczytywane będzie za „napaść".

Nie mogę dalej przypuścić, aby przytoczenie przysięgi antimodernistycznej, w oczach ks. F. J. miało być tą napaścią, o której mówi, boć przecież sam broni słuszności tej przysięgi.

Lecz może zapyta ktokolwiek, czemu wogóle wspomniałem o powyższych enuncjacjach kurji rzymskiej, czemu przytoczyłem t. zw. przysięgę antimodernistyczną?

Wspomniałem już o tym w broszurce mojej, wskazując na to, iż wobec powyższych enuncjacji bez uszczerbku dla wolności nauki praktycznie nie dałoby się urzeczywistnić połączenia różnych wydziałów teologicznych, o czym w naszych warunkach marzono jednak, jak o tym mogłem się przekonać, pracując przez lat kilka w Komisji, opracowującej wewnętrzny Statut Uniwersytetu. Tak się przedstawia sprawa projektu połączenia Wydziału Ewangelickiego z Wydziałem Teologji Katolickiej według ks. F. J. rzekomo przezemnie wysuniętego.

Gdzież więc napaść z mojej strony, skoro właśnie w broszurce mojej wykazuje konieczność istnienia obok siebie różnych wydziałów teologicznych, skoro nie powiedziałem i innych rzeczy, które mi zarzuca przeciwnik mój?

I oto znowu mamy przed sobą przykład metody polemicznej ks. F. J., który sam napadając, głosi o rzekomej napaści z mojej strony. Pod tym względem chwalę sobie raczej szczerość ks. Jana Roztworowskiego, który przynajmniej bez ogródek wypowiedział, to, co i ks. Jehliczka niezawodnie pocichu myśli, że winą naszą, winą nie do przebaczenia jest samo istnienie nasze.

Lecz skoro już mowa o t. zw. przysiędze antimodernistycznej, muszę w związku z oświtleniem metody argumentowania mego przeciwnika pomówić jeszcze o nader oryginalnej próbie uzasadnienia tej przysięgi, która mimo iż antycypuje wyniki badań naukowych, lub nawet zaprzecza im, według zdania ks. F. J. w niczem przecież nie narusza moralności nauki, i przytoczenie której, mimo wszystko jednak zdaje się być głównym kamieniem obrazy.

Otóż broniąc słuszności przysięgi ks. F. J. stwierdza, że nie tylko kościół katolicki wymaga od swoich naukowych badaczy uznania pewnych zasad fundamentalnych, oraz potwierdzenia tego uznania ślubem lub przysięgą, poczem tak dalej pisze: „Każde panstwo, a więc i Polskie, wymaga od profesorów uniwersyteckich pozytywnego stosunku do prawa i państwowości", wobec czego: „Profesorowie wszystkich wydziałów na uniwersytecie warszawskim obowiązani są nietylko uznawać podstawy prawa i państwowości, lecz nadto uznanie to stwierdzić przysięgą", którą w swym brzmieniu przytacza. Stąd wyprowadza ks. F. J. wniosek oryginalny, że więc „ograniczeni są" w swych badaniach zarówno profesorowie nauk prawnych i politycznych, profesorowie filozofji prawa, profesorowie etyki, socjologji, filozofji, kultury i t. d., aby wreszcie stwierdzić: „Przysięgę państwową i p. profesor Bursche składał, więc i on jest w sensie powyższym ograniczony. O ile zaś jest przeciwnikiem jakichkolwiekbądź ograniczeń, dlaczego nie zwalcza też przysięgi państwowej? Dlaczego nie odmówił złożenia tej przysięgi?".

Czytając to wszystko, zdumiony pytam się, do kogo właściwie przemawia ks. F. J. takiemi argumentami i czy rzeczywiście sądzi, że argumenty jego przekonają czytelników „Przeglądu Katolickiego"?

Boć przecież zdaje on sobie dokładnie sprawę z zasadniczej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy t. zw. przysięgą państwową, obowiązującą nas wszystkich. Tamta zaprzecza wynikom badań historycznych, lub w najlepszym wypadku antycypuje je, ta w formie najwięcej ogólnikowej żąda jedynie, aby każdy spełnił obowiązek swój obywatelski i rzyczynił się ze wszystkich sił „do ugruntowania wolności, niepodległości i potęgi Rzeczypospolitej Polskiej". To też tamta, nikt bezstronny temu nie zaprzeczy, najwyraźniej ogranicza wolność nauki i badania, i w tym wszak celu ustanowiona została w dobie wzmagającego się t. zw. modernizmu, gdy tymczasem państwo nie tylko w niczem nie ogranicza wolności nauki i badania, lecz i owszem wyraźnie ją zabez-

---

Obrona praw i swobód religijnych, litość nad dysydentami w Polsce, sprzeczna z absolutyzmem i okrucieństwem synobójcy, niezgoda z postępowaniem Piotra w rzeczach wiary w państwie własnem pozwala wnioskować, iż samowładca rosyjski powodowany był tylko chęcią mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski, której zupełny zabór jeden z pierwszych uplanował; wszelako wstawiennictwo jego uwieńczone było rezultatem dla ewangelików w danej chwili korzystnym.

Koronowanym rzecznikiem krzywdzonych parafjan węgrowskich był także August II-gi.

Odstępca od protestantyzmu dla korony polskiej, pełen perfidji i zmienności charakteru doradza monarchom europejskim rozebranie przybranej przez siebie ojczyzny. Chcąc zyskać sympatję protestantów Rzeszy, jest przychylnym dla protestantów politykiem, bywa jednak uległym katolickiemu klerowi i nie waha się tychże dysydentów poświęcić, gdy tego wymaga jego interes osobisty.

Uważany przez historję za prawcę zbrodni toruńskiej, usprawiedliwiony może poniekąd rozbieżnością, wytworzoną przez stanowisko państw protestanckich, nacisk mocarstw katolickich i żądania różnowierczych poddanych, zwraca się pod wpływem kurfirsta brandeburskiego i Piotra W. do biskupa łucko-brzeskiego w charakterze obrońcy ewangelików węgrowskich:

„August Wtóry z Bożej Łaski Król Polski, Wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflandski, Smoleński, Siewierski, y Czernichowski a Dziedziczny Xiążę Saski y Elektor.

Wielebny w Bogu Uprzeymie Nam Miły.

Za odebraniem nowych do Nas o Coetu Dissidentium Supplik o przywrócenie oneyże ad Antiquum Religionis Suae, które w Węgrowie mieli Exercitium, a oraz tego będąc Rozumienia, że te wszystkie Praw Allegacye (które in Scripto suo wyrażają y których in annexis komunikuiemy Uprzeymości Waszey) militant pro concessa Im, że w Królestwie tym Tollerantia odsyła mi Ich z niniejszą Interpozycyą Naszą Królewską ad Pastoralem Uprzeymości Waszey, tanquam Loci Ordinarij benignitatem, abyś desideria Ich Łaskawie przyjąć, wysłuchać y spełnić raczył. Wiemy w prawdzie coś My winni Wierze Świętey Katholickey w Państwie tym Panującey, którą My Sami Vivido Zelo pomnażać pragniemy, nie żebyś My praejudicare Strzeż Boże Oneyże zamyślili, ale żeś My takowe Dissidentów Exercitium iuż tu znaleźli y Pokoy im & Tollerantiam assekurowaliśmy, tedy nie rozumiemy abyś My zdrożnie Protekcyą im Naszą Królewską oświadczyli mieli, a przeto żądamy usilnie po Uprzeymości Waszey abyś darowawszy Im urazy swoie z okazyi allegowanych Nam przed tym Racyi teraz po Oycowsku obejść się z Niemi y na Prośby Ich, które w Podaney do Nas Supplice wyrażaią, a do Urzeymości Waszey regulantur, skłonić się zechciał, w czym gdy Urzeymość Wasza przez skuteczną Akkomodacyą dalszym do Nas Rekursom Ich drogę zagrodzić, Królewskie tym bardziey na Siebie respekta Nasze derivamus, któremu na ten czas ofiaruiąc Dobrego od Boga Zyczemy Zdrowia.

Dan w Warszawie Roku Pańskiego MDCCXXIX.
Panowania Naszego XXXIII Roku.
Augustus Rex.

piecza, ustanawiając: „Szkołom akademickim przysługuje prawo wolności nauki i nauczania. Każdy profesor i docent szkoły akademickiej ma prawo podawać i oświetlać z katedry według swego naukowego przekonania i sposobem naukowym wszelkie zagadnienia, wchodzące w zakres gałęzi wiedzy, których jest przedstawicielem".

O tym wszystkim wie przecież ks. F. J., a jednak tego rodzaju argumentacja! Zaiste, straconej broni pozycji, kto takich chwyta się metod. (C. d. n.).

Słowo i sprawa.

Wielka tradycja.

W ciasnem powojennem mieszkaniu niema miejsca na ustawienie nowych półek dla przybywających książek i dlatego od czasu do czasu trzeba przejrzeć książki i broszury, aby pousuwać rzeczy mniej cenne i zrobić miejsce dla rzeczy wartościowych. Przeglądam broszury. Wpada mi w rękę mała broszurka Andrzeja Niemojewskiego, zawierająca jego mowę o wielkiej tradycji Rzeczypospolitej Polskiej". Mowa ta została wygłoszona w Warszawie 28 września 1918 roku. Żywo przypominają się wielkie nadzieje owych chwil niezapomnianych, ożywa miłe wrażenie słów wypowiedzianych wówczas przez znakomitego publicystę. Przerzucam kartki i czytam: „Słuchajcie państwa, słuchajcie narody, co mówi w Polsce człowiek najmniejszy, gdy usłyszy pytanie: Quo vadis Polonia" (Str. 8) ..słowo wielkiej tradycji, które nam przekazała nasza wielka wychowawczyni, nasza Rzeczpospolita, której to tradycji wierni, wypisywaliśmy na naszych powstańczych sztandarach: Za waszą i naszą wolność! (Str. 16) „Nie wolno było mówić po polsku... nawet pacierz po polsku bywał zabroniony... — I my mielibyśmy o tem wszystkiem zapomnieć?" (Str. 21). „Tradycja nasza głosi: Ktokolwiek stąpi nogą na ziemię polską, wolny jest". (Str. 28). „Quo vadis Europa? Zobaczymy dokąd idziesz Europo, dokąd zmierzasz, świecie. Ale jeżeli dążysz do ołtarza wolności i sprawiedliwości, to się tam napewno spotkamy, podając sobie ręce". (Str. 30).

Dziwnie smutne myśli rodzą się w głowie. Przed chwilą odłożyłem na stronę numer Polski Odrodzonej, w której jest czarne na białem o tem, że „Izba Karna Sądu Okręgowego w Grudziądzu zgodnie z wnioskiem Prokuratury postanowiła dozwolić zajęcia i wzięcia w przechowanie szat liturgicznych i sprzętów używanych przez oskarżonych Aleksego Hajduka i Stanisława Maksymiljana Zawadzkiego..." i t. p. Jednem słowem sądowe władze Rzeczypospolitej kazały odebrać księżom Kościoła Narodowego szaty liturgiczne i sprzęty kościelne. Konstytucja ogłasza w imię Boga wszechmogącego wolność wszelkiemu sumieniu na ziemiach polskich, Chołoniewski w swoim „Duchu dziejów polskich" opowiadał nam i światu rzeczy wzruszająco piękne o tradycji wolnościowej w Polsce, Andrzej Niemojewski w wierze najlepszej powtórzył jego słowa: „Ktokolwiek stąpi nogą na ziemię polską, wolny jest".

Najcenniejszą wolnością jest wolność sumienia. Nie ten jest wolny, kto nie ma związanych rąk i nóg, ale kto może wyznawać wiarę w Boga tak, jak nakazuje mu sumienie. Tradycji, nazwanej wielką, zadaje kłam dzisiejszość. Polakom, którzy w Kościele Narodowym widzą ostoję wolności swego sumienia, wolności się odmawia. Jeśli prawo głosi co innego, a władze robią co innego, to nazywa się to anarchją.

Opinja publiczna.

Nie to jest takie tragiczne, że nie wszystko jest u nas w idealnym porządku, ale to, że rozbieżność między ideałem a rzeczywistością nikogo nie obchodzi. Napisze coś gazetka, szukająca sensacji, jeśli chodzi o jakiś czyn nielegalny przeciwnika politycznego, powtórzy inna gazetka, przez dwa — trzy dni pisze się o nowem jakiemś nadużyciu, a potem cicho. Pewne pismo, naprzykład, znalazłszy się w opozycji do premjera i ministra skarbu, wypisywało długie artykuły o tem, że w placówkach konsularnych Rzeczypospolitej dopuszczano się wielkich kradzieży, wymieniało się krociowe sumy, nazywało się pewnych ludzi po imieniu. Oczywiście, sensacja. Rząd ogłasza komunikat o tem, że niestety, tak jest, okradano Rzeczpospolitą, że winni zostaną surowo ukarani, że wyniki śledztwa zostaną podane do wiadomości publicznej. Niektórzy, ale tylko niektórzy, obywatele zadają sobie pytanie: Kto kradł? Gdzie to się stało? Jak to było możliwe? Ile ukradziono? Jak ukarano złodziei? Ale na pytanie te daremnie czeka się odpowiedzi. Nawet w sejmie w walce stronnictw padały imiona znanych polityków, przedstawianych przez stronnictwa konkurencyjne jako przywłaszczycieli dobra publicznego. Obywatel zadaje sobie pytanie: Prawda, czy nieprawda? Rozumie on tylko tyle, że albo oskarżony albo oskarżyciel nie ma racji. Obaj jej mieć nie mogą. Jeśli oskarżony okradał Rzeczpospolitą, to powinien być ukarany, jeśli oskarżony został niesłusznie, to powinien być zrehablitowany, a oskarżyciel powinien ponieść karę przewidzianą przez kodeks. Tymczasem nie dzieje się ani jedno, ani drugie i obywatel ma możność wyboru komu chce wierzyć. Na pewnym urzędzie pocztowym tuż pod Warszawą opowiadają sobie urzędnicy o zdefraudowaniu około trzydziestu tysięcy złotych przez księdza, który miał filję pocztową pod swoim dozorem. No i cóż? — pyta obywatel zainteresowany sprawą. A nic — słyszy w odpowiedzi — defraudant połowę pieniędzy już oddał, resztę obiecał oddać i w porządku? Czy takie łaskawe względy nie staną się zachętą dla amatorów państwowej i wogóle cudzej własności? Czy nie ustali się niezdrowa zasada, że można spróbować ukraść, bo jak się nie uda, to się skradzione odda, nawet na raty, i po krzyku? Takich i podobnych spraw mamy wielkie mnóstwo. Nie zostały wyjaśnione i zabagniają życie w sposób ohydny. Obywatel, dbały o czystość życia społecznego, nieraz zadaje sobie pytanie, czy ten a ten to człowiek zasłużony, czy też poprostu złodziej?

Gdzie jest opinja publiczna, republikańska i demokratyczna? Przecież Polska to nie folwark jakiegoś obcego władcy, to nie Rzecz Obojętna, ale Rzecz Pospolita, należąca do wszystkich. Kto w Polsce interesuje się tem,

---

Dzieje Węgrowa są tylko małym fragmentem historji reformacji w Polsce, lecz znaczenie ewolucji, jakiej ognisko dysydentów uległo, jest ważniejsze, aniżeliby się to pozornie wydawać mogło.

Losy Węgrowa są jakby odbiciem groźnego pożaru, który przez kler katolicki i jezuitów podsycany, Polskę w XVI-tym, XVII-tym, XVIII-tym stuleciach ogarnął.

Pożoga ta strawiła dzieło niezależnego ducha protestantyzmu polskiego, niszcząc jednocześnie ducha postępu intellektualnego, a cofając Polskę w ogólnym pochodzie cywilizyzacji o kilka wieków wstecz, umożliwiła w znacznej mierze katastrofy rozbiorcze XVIII-go wieku.

Jak widzimy kościół węgrowski był również pastwą nienawiści religijnej, zdołał jednak przetrwać chwile przełomowe, dowodząc siły przekonań wyznawców reformacji.

Niestety inne ośrodki reformy religijnej, nie mając gorliwych wyznawców, przywiązanych do idei propagatorów i odważnych obrońców, upadły w groźnych chwilach natarcia, pozwalając przeciwnikom nowego kierunku myśli odnosić tryumfy zwycięstwa.

Bogata w wydarzeniach przeszłość Węgrowa nadała mu znaczenie szanowanej pamięci historycznej, a stając wśród nielicznych ocalałych pomników reformacji, świadczy o systemie, jakim w dawnej Polsce zwolenników wszelkiego swobodniejszego ducha zwalczano.

że naprzykład pewnej części obywateli odmawia się prawa wolności sumienia, jak to się dzieje z członkami Kościoła Narodowego? Kogo boli bezprawie?

Prawda.

Śród książeczek i broszur wpada mi w rękę mała książeczka pisarza czeskiego, Karla Capka „Krytyka słów". Przerzucam kartki i zatrzymuje się przy nagłówku „Prawdy". Wywody autora są krótkie i mądre. Powiada on między innemi, że słowo „prawda" inne posiada znaczenie w podręczniku filozofji, a inne w życiu powszedniem. „Powiedzieć komuś prawdę", to w potocznem znaczeniu tego zwrotu znaczy nawymyślać mu. Są ludzie, którzy chełpią się przy każdej sposobności, że wszystkim mówią prawdę w oczy. Ludzie tacy z jakąś dziką przyjemnością obrażają swoich bliźnich, wypowiadając im swoje mniemanie o nich i o ich bliskich, a w pojęciu ich nazywa się to szczerością i prawdziwością. I my mamy przysłowie, które powiada, że prawda w oczy kole. Z tego wszystkiego wynika, że prawda musi być koniecznie czemś szorstkiem, zjadliwem, a nawet brutalnem. Nie mówimy, że kłamstwo w oczy kole, ale właśnie prawda. Nigdy jeszcze nikt nie powiedział, że prawda jest urocza, ale o kłamstwie mówi się tak bardzo często: urocza złuda, miłe kłamstwo, piekne iluzje. Wyobraźmy sobie, jakby to musiało być, gdyby ktoś miał prawo powiedzieć, że kłamstwo w oczy kole i że prawda jest urocza.

Być może, iż przysłowie o prawdzie w oczy kolącej, jest uzasadnione licznemi doświadczeniami życiowemi, ale życie i współżycie nie opiera się wyłącznie na tem, co uderza w oczy. Ludziom, którym mówi się prawdę jedną prawdę dla nich bolesną i przykrą, możnaby niewątpliwie powiedzieć także prawde inną, nie kolącą w oczy, ale głaszczacą miękko, jak dłoń matki lub przyjaciela. Może ktoś lubić przesiadywać w towarzystwie, w którem piją dobre wino, ale zarazem być bardzo troskliwym ojcem i wiernym przyjacielem, a na niedolę bliźniego tak tkliwym, że gdzie nadarzy się sposobność, tam te niedolę łagodzi. Otóż taki fanatyk prawdy, mógłby, folgując swemu nałogowi, mówić prawde w oczy w ten sposób naprzykład: Jesteś setny chłop, nie odwracasz sie od przyjaciół, dbasz o swoją rodzinę, gdzie możesz, wspomagasz ubogich. Ja twój sąsiad, widze to doskonale i ciesze się z tego, a ponieważ mam już taki nałóg, że wszystkim zawsze mówię prawde, przeto pozwól mi, iż ci powiem, co o tobie myśle. Jak wszyscy ludzie na tym świecie, tak i ty, masz niewatpliwie swoje błędy i wady, ale ogromnie rad jestem, że masz także duże przymioty.

Kto wie, czy taki sposób „mówienia prawdy w oczy" nie wpłynąłby na całą rzeczywistość naszego życia. Ludzie, którzy słysza o sobie wiele złego, myśla w końcu, że mają upoważnienie do stania sie złymi, natomiast ludzie, o których mówi sie dobrze, czuja sie zobowiazani do usprawiedliwienia swojej opinji. Gdy opinja publiczna kogoś uszlachca, to nakłada nań obowiazki szlachectwa, bo „Noblesse oblige".

P. Hulka-Laskowski.

W obronie Żeromskiego.

Rozpowszechniona została ulotka podpisana przez „Koło Polonistów Uniwersytetu Poznańskiego", nosząca tytuł: „Odezwa do Społeczeństwa Wielkopolski". Ulotka zaczyna sie od słów: „Poznańska Kurja Biskupia rozesłała do księży Prefektów średnich zakładów szkolnych tajny okólnik z wezwaniem aby przestrzegli dyrektorów tychże zakładów przed urządzaniem akademji ku czci Stefana Żeromskiego, a młodzież szkolną uświadomili o demoralizującym wpływie jego dzieł". Z tego powodu zrzeszenie młodzieży, oddające się studjom nad literatura polską staje w obronie zmarłego pisarza, wyrażając nadzieję, że miłości, jaka żywić musi i żywić będzie dla Żeromskiego naród polski, nie stłumi żaden okólnik kurji biskupiej w Poznaniu, podyktowany choćby najszlachetniejszemi pobudkami.

Autorzy ulotki kończą słowy: „Publiczną tą odezwą Wysokie Władze Szkolne zapytujemy, jakie jest ich stanowisko wobec samorzutnych objawów czci dla Żeromskiego ze strony młodzieży szkolnej".

Ś. † p. Jan Heurich

Dnia 11.XII zmarł w Warszawie b. minister kultury i sztuki, znany architekt polski, b. członek warszawskiego Kolegjum Kościelnego, ostatnio reprezentant Zboru ś. p. Jan Heurich.

Urodzony w Warszawie w r. 1873, jako syn Jana, również świetnego architekta, po ukończeniu petersburskiej akademji sztuk pieknych kształcił się, jako stypendysta rządowy, zagranicą.

Prace jego rozsiane są po całej Polsce. Z ważniejszych wymieniamy: wewnetrzne dekoracje w stylu gotyckim kościoła w Krukinowie (Kowieńszczyźnie), dekoracje architektoniczne o charakterze zakopiańskim zakładu kąpielowego w Solcu, dekoracje architektoniczne w stylu polskim dworu wiejskiego w Dłużewie (gub. witebskiej), projekt dekoracji architektonicznej w stylu romańskim w kaplicy na Powazkach na grobie ś. p. M. Zielińskiego, projekty pieciu plafonów w stylu Ludwika XIV w pałacu hr. Zamoyskiego w Kozłówce, domek myśliwski o charakterze „rustique" w Opaleniu pod Warszawą, ołtarz w stylu Ludwika XVI do kościoła w Studziennicze! (ziemia suwalska), projekt dworu wiejskiego o charakterze polskim w Milejowie (ziemia lubelska), projekt kaplicy pałacowej w Kozłówce (ziemia lubelska) w stylu Ludwika XIV, ołtarz gotycki do kościoła w Krukinowie, oraz szeregu will stylowych.

Z konkursów wychodził zwycięsko. I tak: na konkursie na dom dochodowy hr. Krasińskich przy zbiegu ul. Mazowieckiej i Traugutta otrzymał 1-sza nagrodę, na konkursie Tow. zachety sztuk pieknych w 1901 r. — II-ga nagrodę, za dom dla Tow. wzaj. kredytu w Radomiu w 1909 r. — II-ga nagrodę, za dojazd do 3-go mostu i za plany rozszerzenia gmachu Tow. kred. m. Warszawy — II-ga nagrodę.

Wreszcie zamieścił szereg prac fachowych w czasopismach technicznych.

Przez pewien czas był prezesem Koła architektów. Ostatnim posterunkiem publicznym zmarłego była teka ministra kultury i sztuki, na którem to stanowisku był odznaczony krzyżem komandorskim orderu „Polonia Restituta".

Jako wybitny fachowiec, prawdziwie utalentowany i zamiłowany w swym zawodzie artysta, ś. p. Jan Heurich pozostawia po sobie chlubne wspomnienie. Niemniej piekne wspomnienia pozostawia po sobie, jako człowiek, obdarzony niepośledniemu zaletami serca i umysłu. Ten światły umysł, zacne serce obywatelskie i nieskazitelny charakter, obok gruntownej wiedzy i talentu wybitnego, potrafiły jednać ś. p. Janowi Heurichowi przyjaciół i uznanie powszechne.

Wiadomości z kościoła i ze świata.

Z WARSZAWY.

ZBIOROWE LEKCJE RELIGJI.

Wzorem lat ubiegłych prowadzone są przy Zborze naszym, staraniem Kolegjum Kościelnego, zbiorowe lekcje religji dla młodzieży wyznania ewangelicko-augsburskiego, uczęszczającej do tych szkół średnich prywatnych w Warszawie, w których nauki tej niema. Na prośbę Konsystorza Kuratorjum Okręgu Szkolnego Warszawskiego, jak zwykle, tak i w roku bieżącym, zwróciło sie do prywatnych szkół średnich w mieście stołecznem przez oficjalny okólnik z poleceniem przesłania bezpośrednio na ręce dyrekcji gimn. im. M. Reja dokładnego spisu uczniów

i uczenie tego wyznania i skierowania młodzieży na te lekcje. Nauka prawidłowa rozpoczęła się z opóźnieniem, dn. 24 września, i odbywa się w czwartki od godz. 4-ej popołudniu, a mianowicie, dla uczniów — gimn. im. M. Reja, dla dziewcząt — w gimnazjum żeńskiem Zboru.

Niestety, frekwencja tych lekcyj jest niezadawalająca. Okazuje się, że szkoły regularnego uczęszczania młodzieży na naukę religji zapewnić nie mogą. Byłoby z pewnością niesłusznie stwierdzić, że nie chcą tego uczynić.

Uprasza się przeto rodziców, aby się sami zechcieli zainteresować tą sprawą. Rodzice powinni czuwać, aby ich dzieci na lekcje te uczęszczały, oraz zachęcać je do tego. Przy sposobności powinni rodzice poruszyć sprawę w szkołach, w których powierzyły wychowanie swych dzieci. Przy sposobności...? Nie zawadzi jednak może, nie czekając na sposobność, pójść z tem umyślnie do dyrekcji...

— Towarzystwo Obrony Przeciwgazowej zwróciło się do Kolegjum kościelnego z prośbą o ofiary. Z uwagi na ogólno-obywatelski charakter sprawy p. prezes J. Evert zwrócił się do nas z prośbą o otworzenie rubryki ofiar na ten cel. Chętnie tej prośbie czynimy zadość.

P. prezes J. Evert złożył na ten cel 10 zł.

— Z Koła Teologów Ewangelickich. Koło Teologów Ewangelickich Stud Uniw. Warsz. urządza w drugiej połowie stycznia 1926 r. wielką loterję fantową. Zysk jest przeznaczony na bibliotekę Koła oraz na stworzenie funduszu samopomocy koleżeńskiej. Wobec tak wzniosłego celu Koło nie wątpi o ofiarności i poparciu, okazanym przez społeczeństwo i żywi niepłonną nadzieję, że społeczeństwo odniesie się życzliwie do loterji. Ponadto Koło zaznacza, że posiada już cały szereg cennych fantów. Cena losu wynosi tylko 50 groszy.

DUCHOWIEŃSTWO I PODATKI.

Dziennik warszawski „Rzeczpospolita" puścił w świat wiadomość, że w pewnej części Państwa Polskiego władze skarbowe poddały dochody księży katolickich pod nadzór tajny pisarzy gminnych, celem sprawdzenia ich wysokości. Ministerstwo Skarbu komunikuje, że zastępca naczelnika urzędu skarbowego w Grodnie, który wydał zarządzenia, został zawieszony. Kurja biskupia wileńska oponowała przeciwko pociąganiu duchowieństwa katolickiego do podatku dochodowego od dochodów z posług religijnych (jura stolae), lecz otrzymała odpowiedź, że dochody te nie mogą być zwolnione od podatku z uwagi na obowiązujące przepisy ustawowe.

PRZECIW KLERYKALIZMOWI.

Tygodnik „Chłopski Sztandar", organ Związku polskich stronnictw ludowych „Wyzwolenie" i „Jedność Ludowa", zajmował stale stanowisko antyklerykalne, obecnie zaś wydaje dodatek, poświęcony specjalnie walce z klerykalizmem, p. t. „Kropidło".

Z SIERPCA.

Dn. 13 grudnia odbyła się w kościele sierpeckim uroczysta instalacja wybranego jednogłośnie pastora, ks. Aleksandra Paschkego. Aktu wprowadzenia w urząd nowego pastora dokonał superintendent generalny, ks. Juljusz Bursche, w asystencji ks. A. Rondthalera, dawniejszego administratora tej parafji, za którego urzędowania wykonana została przed 12 laty przy wielkiej ofiarności parafjan budowa kościoła i plebanji. W osobie ks. A. Paschkego zbór sierpecki posiada od 62 lat po raz pierwszy stałego pastora. Dotychczas zawiadywał tą parafją zazwyczaj jeden z okolicznych pastorów. Księdzu Paschkemu zasyłamy życzenia błogosławionej pracy na nowem polu pracy, parafjanom sierpeckim zaś winszujemy ich decyzji, której mocą w życiu ich zboru ma nastąpić teraz punkt zwrotny.

NOWA PARAFJA KOŚCIOŁA NARODOWEGO.

Mimo prześladowania, kościół narodowy rozszerza się. Niedawno powstała nowa parafja w Jastkowicach. Parafja w Krośnie liczy podobno 1500 dusz, w sąsiednich Łękach — drugie tyle.

ZE ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO.

W Błędowicach Dolnych odbyła się dn. 22 listopada uroczystość poświęcenia odnowionego wewnątrz kościoła. Poświęcenia dokonał ks. senjor Folwarczny z Orłowej, kazanie wypowiedział ks. O. Michejda z Trzyńca. Oprócz tego przemawiał ks. senjor Kulisz z Cieszyna.

Z CZECHOSŁOWACJI.

Katolikom zwrócono prawie wszystkie budynki kościelne, zabrane poprzednio przez kościół czechosłowacki, który korzystając z wybitnej pomocy państwa wzniósł 17 budynków kościelnych, drugie tyle budowli obecnie prowadzi, 25 budynków zaś zakupił na miejsce zebrań kościelnych i na kancelarję parafjalną.

Z PALESTYNY.

Palestynę opuścił dotychczasowy jej namiestnik z ramienia Anglji, Hubert Samuel członek rodziny żydowskiej Montahue w Londynie, po upływie 5 lat urzędowania, przepowiedzianych z góry. Następcą jego został żołnierz, dotychczasowy komendant Malty, marszałek Plumer. Im więcej Anglja musi się poddać konieczności uznania faktycznie niepodległości Egiptu, tem więcej czuje się zniewolona do czujności po palestyńskiej stronie kanału Suezkiego. Palestyna posiada doniosłe znaczenie strategiczne jako kraj, leżący na lewym flanku kanału, oraz jako droga lądowa między Afryką i Azją. Podobno ze i względy wyznanione odgrywają rolę przy wyborze marszałka Plumera. Kurja rzymska była niezadowolona z tego, że Żyd był namiestnikiem Ziemi Świętej, chociaż bowiem miał on na swem terytorjum nieliczną gromadkę katolików, to zachowanie się jego jako patrona Palestyny było niemiłe. Posyłając do Palestyny Żyda na to stanowisko, Anglja uczyniła to dla przypodobania się Żydom. Teraz zaś, dla zjednania sobie papieża, zdecydowali się mężowie stanu Anglji wysłać tam katolika Plumera. Z protestanckimi Anglikami liczono się, naznaczając protestanta na stanowisko pierwszego sekretarza stanu. Katolicy są z obecnego stanu rzeczy zadowoleni Jak w całym świecie, tak i tu, katolicyzm jest teraz wielce agresywny, i liczy na łatwe zdobycze w świecie kościoła grecko-katolickiego. Patrjarchat grecki został przez wojnę i jej skutki narażony na utratę całkowitą swych majątków i jest obecnie bardzo zadłużony. Naraził się przez to na oddanie pod nadzór finansowy przez państwo, i nie ma zupełnie środków na zasiłki na cele kościelne, płacę komornego i t. p. Arabowie wyznania greckiego, o ile są biedni, są narażeni na pokusę, aby się oddać w ramiona zasobnego w środki kościoła katolickiego.

Za agencjami prasowemi podaliśmy swego czasu szumne wiadomości o poświęceniu uniwersytetu w Jerozolimie. Jak się obecnie okazuje, gmach uniwersytetu jeszcze nie został zbudowany, a nieliczne wykłady odbywają się w willi pewnego Anglika. Wygłoszono wprawdzie szereg mów uroczystych, zjechali się dyplomaci mocarstw i delegaci uniwersytetów. Przybył też angielski mąż stanu, minister Balfour, twórca azylum narodowego dla Żydów w Palestynie. Ale właśnie jego przyjazd wywołał największe protesty ze strony Arabów, strejki, a na terytorjum francuskiem, w Damaszku, nawet rozruchy, skierowane osobiście przeciw niemu, jako temu, który wykonał zamach na wolność Arabów.

ZWIĄZEK KOBIET, WYKSZTAŁCONYCH TEOLOGICZNIE.

Związek kobiet niemieckich wykształconych teologicznie, uchwalił na jednym ze swych zjazdów następującą enuncjację: 1. Pragniemy pracować w służbie ko-

ścioła na polach pracy, wymagających sił kobiecych. Spodziewamy się, że stosownie do potrzeb zboru, otworzy się dla nas samodzielne i odpowiedzialne pole pracy, odmienne od zajęcia pracowniczki społecznej, jak również i od pracy samodzielnego proboszcza zboru. 2. Praca nasza powinna być służbą dla zboru, odciążającą urząd parafjalny przez podział zajęć i stworzenie nowego urzędu. 3. Oprócz służby w zborze wydają się nam odpowiedniemi dla kobiet, wykształconych teologicznie, następujące działy pracy: duszpasterstwo w oddziałach kobiecych szpitali i więzień, łącznie ze związanem z tą pracą głoszeniem słowa i sprawowaniem sakramentów; duszpasterskie kierownictwo w schroniskach dla dziewcząt; kościelna nauka religji; przewodniczenie młodzieży żeńskiej w różnych organizacjach; współpraca w organizacjach, pozostających w łączności z kościołem.

MURZYNI.

W Stanach Zjednoczonych istnieje 42,300 kościołów murzyńskich, podczas gdy w r. 1866 było ich tylko 700. Liczba komunikantów wzrosła wciągu lat 60 z 600,000 do 4,800,000, wartość majątku kościelnego z 1 i pół miljona do 84 miljonów dolarów.

KRYZYS KOŚCIOŁA W ANGLJI.

Charakter niedzieli angielskiej uległ od chwili wybuchu wojny gruntownym zmianom. Surowy sposób świętowania niedzieli był dawniej dla Anglika nietykalny. Obecna sprawa świętowania niedzieli przedstawia się tam nieco inaczej w praktyce życia. Przepełnione kina, teatrzyki, ruch na placach tennisowych, tłok w pociągach, mrowie samochodów na ulicach, Wszystko rzeczy, które przed wojną były nie do pomyślenia dla Anglika, zrównały obecnie niedzielę angielską z niedzielą na kontynencie Europy. Sfery robotnicze, mieszczaństwo, oraz warstwy górne przechodzę teraz w Anglji pewien proces rozkładu wartości kościelnych. Nie można mówić o wrogim stosunku do kościoła. Przywódcy polityczni Lobour Party są to ludzie prawdziwie religijni i dla kościoła usposobieni życzliwie. Szczególnie zaznaczyć to należy o przywódcy tego stronnictwa, Macdonaldzie. Ale te czasy już minęły, gdy przywódcy związków zawodowych w okręgach górniczych mogli być jednocześnie kaznodziejami świeckimi na usługach kościoła. — Zauważono, że liczba aspirantów do studjum teologicznego uległa znacznej zmianie. Mnożą się szkoły, w których niema nauki religji. Zwyczaje religijne straciły na żywotności nawet i w kole rodzinnem.

Wszystko to stanowi wyraźne objawy kryzysu kościoła, ale nie jest jeszcze kryzysem religji. Anglicy posiadają silny wrodzony instynkt religijny i metafizyczny, który znajduje odbicie rówież i w literaturze pięknej.

Porządek nabożeństw.

Dnia 24 grudnia, w wieczór wigilijny — o godz. 3 po poł. nab. w jęz. niemieckim, ks. djakon Rüger; o godz. 4.30 po poł. nab. w jęz. polskim, ks. djakon Rüger.

Dnia 25 grudnia, w I Święto Narodzenia Pańskiego — o godz. 9.30 rano, nabożeństwo w języku niemieckim (bez kom. św.) ks. Michelis; o godz. 11.30 r., nabożeństwo w jęz. polskim (bez kom. św.), ks. pastor Loth.

Dnia 26 grudnia, w II Święto Narodzenia Pańskiego— o godz. 11.30 rano, nabożeństwo w jęz. polskim, ks. djakon Rüger.

Dnia 27 grudnia, w niedzielę po Narodzeniu Pańskiem — o godz. 11 rano, nabożeństwo w języku polskim, ks. pastor Michelis.

Dnia 31 grudnia, w wieczór Sylwestrowy — o godz. 5 po poł. nab. w jęz. niem., ks. pastor Loth; o godz. 6.30 po poł. nab. w jęz. polskim, ks. pastor Michelis.

Wiadomości statystyczne urzędu parafjalnego.

W czasie od 7 do 14 grudnia było:

Urodzonych: chłopców 2, dziewczynek 7.

Zaślubionych: Witold Wawrzyniec Thieme i Walerja Sobieśniewska.

Zmarłych: August Giering, dozorca domowy, lat 59; Luiza Wirgiliusz urodzona Johansohm, żona artysty muzyki, lat 65; Maksymiljan Luxenburg, przemysłowiec i obywatel miasta Warszawy, lat 61; Jan Fryderyk Heurich, architekt, lat 52; Marja Schmidt, córka rzeźnika, 9 dni; Anna Pachołek urodzona Zahl, wdowa po robotniku, lat 83; Alfred Peszel, tkacz, lat 40.

OFIARY:

W tej rubryce, w Nr. 49, dla biednych 10 złp. było od M. Stegnerowej, a nie jak mylnie podano: M. Stegmanowej. W dalszym ciągu wpłynęło: Na dom sierot: H. Goleński 10 złp. Na dom starców i sierot Schütz Emilja 4 złp. Na Wydawnictwo: Jan Pfeiffer 2 złp.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote, miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji— Kancelarja Zboru u WP. W. KĘDZIERSKIEGO, codziennie od 9 — 2 i 3 — 5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor A. LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano, telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 4 m. 3.

Redaktor: Ks. A. LOTH. Wydawca: Ewang. Sp. Wyd. „Logos".

Adres drukarni: „Współczesna", Szpitalna 10. Telefon 193-95.